

Wojciech Kaliszewski: Ręka poety. O Zbigniewie Herbercie

„Herbert był jakby cały czas w drodze, w pogoni za umykającymi kształtami. Był poszukiwaczem zaginionych znaczeń, archeologiem odkrywającym dawno zasypane i zapomniane pokłady sensu. Taki był niezależnie od politycznej pory roku. Mróz czy odwilż nie miały tutaj większego wpływu na jego postawę” – pisze dla Teologii Politycznej dr Wojciech Kaliszewski.

W słynnym zbiorze esejów Zbigniewa Herberta „Barbarzyńca w ogrodzie”, o którym sam autor napisał, że to „sprawozdanie z podróży” i że „pierwsza podróż realna po miastach, muzeach i ruinach. Druga – poprzez książki dotyczące widzianych miejsc. Te dwa widzenia czy dwie metody przeplatają się ze sobą”, jest jeden z najlepszych szkiców, jakie kiedykolwiek napisano o wznoszeniu katedr gotyckich w średniowiecznej Francji. Ten szkic nosi tytuł „Kamień z katedry”. Ilekroć jednak ten szkic czytam, tylekroć zachwyam się ekspozycyjną anegdotą otwierającą tekst. Otóż bohater – *porte parole* samego Herberta – wysiada z pociągu na paryskim Gare du Nord i zamiast – a jest środek nocy – poszukać hotelowego pokoju, zostawia walizkę w przechowalni bagażu i wyrusza do miasta, bo – jak powiada „spędzić pierwszą paryską noc w łóżku wydało mi się świętokradztwem”. Nic w tym dziwnego – oto spełniło się marzenie mieszkańca kraju za żelazną kurtyną: znalazł się w mitycznym Paryżu. Nie to mnie jednak zachwyca, ale inny obecny tu wątek, właściwie dopowiedzenie, tekst poboczny. Trudno mi się oprzeć i zacytuję cały fragment: „Zostawiłem

więc walizkę w przechowalni i zaopatrzony w słownik francusko-polski oraz »Przewodnik po Europie« (wydanie II, przejrzone i uzupełnione przez Akademicki Klub Turystyczny – Lwów 1909) ruszyłem na miasto. Nieoceniona ta książka z ojcowskiej biblioteki stanowiła dla mnie wprowadzenie w tajemnice Paryża. Pochodziła ona z okresu, kiedy po mieście jeździły omnibusy ciągnięte przez trzy białe konie, prosperował jeszcze na rue de l'Estrapade polski pensjonat pani Pióro, a charytatywną działalność rozwijała, założona w roku 1862, »Instytucja Czcii i Chleba, z prezesem Zamojskim na czele«.

Myszę, że to lwowska tak szeroka i historycznie głęboka perspektywa stworzyła i uformowała Herberta poetę. To miasto wyznaczało środek pola jego wyobraźni

Herbert w swą pierwszą zagraniczną podróż wyruszył w 1958 roku i oto teraz, w tym nieomal mistycznym momencie przekraczania progu

dworcowych hal dokonuje się jakby symboliczne zjednoczenie świata rozdartego na dwa odłamy. Kluczem tego zjednoczenia jest właśnie stary ojcowski przewodnik wydany we Lwowie. Ileż w tym symbolicznym akcie-momencie zmartwychwstaje rzeczy – rzeczy które miały być wymazane z pamięci i pola widzenia. Ileż perspektyw ujawnia teraz – wbrew dyktatorskim, jałtańskim wyrokom – swą trwałość. Oto Paryż w zasięgu zmysłów bohatera-autora, oto Lwów – już wprawdzie zabrany Polsce i Polakom, ale nie kulturze polskiej i wciąż obecny w pamięci Polaków. Ta przywołana scena, ukazująca ubogiego przybysza ze Wschodu w Paryżu, potwierdza jedność kultury śródziemnomorskiej. Lwów i Paryż wyznaczają oczywiste punkty śródziemnomorskiej przestrzeni. Wszak przez stulecia był to jeden

świat, wymownym i namacalnym dowodem jest na to stary ojcowski przewodnik. I myślę, że Herbert tą anegdotą napisał i jakby nakreślił plan swojej poetycko-eseistycznej idei: że to anegdota programowa, że z tym lwowskim przewodnikiem będzie przemierzał odtąd wszystkie Rzymy, Pompeje, Paryże i Akwizgrany, dotykając tego, co najważniejsze, co niezmienne i właśnie nierozzerwalne w kulturze, w istnieniu, co – poprzez tradycję – wyznacza także perspektywę przyszłości.

*Scena, ukazująca ubożego
przybysza ze Wschodu w
Paryżu, potwierdza jedność
kultury śródziemnomorskiej.
Lwów i Paryż wyznaczają
oczywiste punkty
śródziemnomorskiej
przestrzeni. Wszak przez
stulecia był to jeden świat*

Zbigniew Herbert
przyszedł na świat 29
października 1924
roku we Lwowie.
Urodził się i
dzieciństwo spędził
w mieście, które
poprzez swoją
historię,
mieszkańców,
architekturę i
tradycje naukowo-
kulturalne stanowiło

nie tylko przyczółek, lecz wręcz imponujący węzeł
śródziemnomorskości. Stąd, z ulicy Łyczakowskiej, przy której
mieszkał, było w tym świecie na wyciągnięcie ręki do ateńskiego
Partenonu, rzymskiego Forum Romanum, paryskich Pól Elizejskich, ale
także do Wiednia czy Budapesztu, leżących nad Dunajem, graniczną
rzeką rzymskiego cesarstwa. Fundamentalna jedność wyrosła na
urodzajnym gruncie prawa, gramatyki, heksametru, jambów,
pojemnych metafor, cnót moralnych, wartości estetycznych z pojęciem
piękna, smaku i gustu na pierwszym miejscu, na lekturach Homera,

Liwiusza, Cycerona, Owidiusza czy Horacego. I o tę jedność, o ten świat właśnie toczył się zawzięty spór znaczony datami 1918, 1920 i 1939. Miarą tych dat niech będą greckie Termopile, które swój dramatyczny finał miały tym razem w nieodległej także przestrzennie krymskiej Jałcie założonej przez Greków, potem należącej do Rzymian, a jeszcze potem leżącej w granicach Cesarstwa Bizantyńskiego. Jest w tym wszystkim gorzki paradoks historii, który Herbert, jak mało kto czuł i z którym szedł i z którym zmagał się przez całe swoje twórcze życie.

Myślę, że to lwowska tak szeroka i historycznie głęboka perspektywa stworzyła i uformowała Herberta poetę. To miasto wyznaczało środek pola jego wyobraźni:

„Gdybym tam wrócił
pewnie bym nie zastał
ani jednego cienia z domu mego
ani drzew dzieciństwa
ani krzyża z żelazną tabliczką
ławki na której szeptałem zaklęcia
kasztań i krew
ani też żadnej rzeczy która nasza jest”

Już sam dobór słów i szyk wyrazów w wersach tworzą budowlę hieratyczną, wyjątkową i przez to właściwie akcentującą wielkość straty. To fragment z wiersza pod tytułem „Pan Cogito myśli o powrocie do rodzinnego miasta”. Ale całość tego dramatycznego wyznania dopełnia strofa stanowiąca coś w rodzaju komentarza do samego siebie. Oto Pan Cogito powiada:

„stoję w środku
nieruchomy jak pomnik
na jednej nodze
przed skokiem w ostateczność”

Był Herbert przez całe swoje późniejsze, pozalwowskie życie w nieustannym ruchu i nieustannym zawieszeniu. Biegł i stał jednocześnie. Mówił i milczał. Stał zawsze na krawędzi. To znowu paradoks, ale paradoks arcydramatyczny, niszczący, zabójczy, trujący.

Wszystko, co wydarzyło się potem, po okresie lwowskim w życiu Zbigniewa Herberta składało się na długą trajektorię lotu, którego początkiem był „skok w ostateczność”. Można by ją opisać i szczegółowo przedstawić, rozwijając na jej kanwie niejedną opowieść i przypowieść o losach poety, o styku poezji, etyki i polityki, o wolności wewnętrznej i zewnętrznej, o klęskach i zwycięstwach, o sile, uporze, pokorze i nadziei. Tyle w tym Herbertowskim skoku-locie „w ostateczność” było wątków niepowtarzalnych i uniwersalnych zarazem i tak bardzo ta trajektoria była napięta. Bo w tym skoku, w jego niespodziewanych zawirowaniach, wzlotach i nagłych upadkach stawał się Zbigniew Herbert Herbertem – poetą „czasu marnego”. W tym czasie studiował filozofię, prawo, imał się z konieczności absurdalnych zajęć, odmawiał pisania ód „ku czci”, pisał bez nadziei na druk, kochał, pił, bawił się, płakał i rozmyślał. Ale to w tym także czasie los dał mu niezwykłego nauczyciela, wielkiego mędrca i filozofa, profesora Uniwersytetu w Toruniu, Henryka Elzenberga. To do niego, w stulecie urodzin Herbert pisał:

„Kim stałbym się gdybym Cię nie spotkał – mój Mistrzu Henryku
Do którego po raz pierwszy zwracam się po imieniu
Z pietyzmem czcią jaka należy się – Wysokim Cieniom

Byłbym do końca życia śmiesznym chłopcem
Który szuka
Zdyszany małomównym zawstydzonym własnym istnieniem
Chłopcem który nie wie

Żyliśmy w czasach które zaiste były opowieścią idioty
Pełna hałasu i zbrodni
Twoja surowa łagodność delikatna siła
Uczyły jak mam trwać w świecie niby myślący kamień
Cierpliwy obojętny i czuły zarazem”

Adresat tej jakże prostej i podniosłej, i w pełni klasycznej ody, Henryk Elzenberg, aksjolog, etyk, ontolog był po prostu kimś. Był człowiekiem wolnym i wrażliwym na brak wolności. Ale wolność zawsze łączył z dobrem, nigdy z dowolnością. Był autorytetem. To on wypełnił Herbertowi tę pustkę po utracie świata lwowskiego i on był dla niego miarą wartości w „czasie marnym”, przecząc chyba jednak Heideggerowskiemu zwątpieniu. Trudno powiedzieć tutaj, ile z Elzenberga jest w Herbercie-poecie, ale jest na pewno bardzo dużo świadomie i z wdzięcznością przejętych myśli, postaw i przekonań.

Życie poety jest życiem podobnym do muzycznej fugi, w której temat goni temat, a ucieczka i pogoń stanowią zasadę kompozycyjną całości. Herbert był jakby cały czas w drodze, w pogoni za umykającymi kształtami. Był poszukiwaczem zaginionych znaczeń, archeologiem odkrywającym dawno zasypane i zapomniane pokłady sensu. Taki był niezależnie od politycznej pory roku. Mróz czy odwilż nie miały tutaj większego wpływu na jego postawę. A umiał te zwroty i wolty dosadnie i ironicznie przedstawić:

„Kiedy opadła groza pogasły reflektory
Odkryliśmy że jesteśmy na śmietniku w bardzo dziwnych pozach
[...]

Nie mieliśmy dokąd odejść zostaliśmy na śmietniku
zrobiliśmy porządek
kości i blachę oddaliśmy do archiwum

Słuchaliśmy szczebiotania tramwajów jaskółczego głosu fabryk
i nowe życie słało się nam pod nogi”

Wiersz nosi tytuł „Przebudzenie” i jest w nim zawarta cała podstawowa diagnoza popaździernikowej, iluzorycznie wolnej rzeczywistości. W tle pobrzmiwa – niczym prześmiewcza przestroga - słynna fraza z powieści Juliana Kadena-Bandrowskiego „Generał Barcz” – „radość z odzyskanego śmietnika”, ale tamten lekki sarkazm tutaj, u Herberta, zdominowała naprawdę ostra i gorzka ironia zawarta w wyrażeniu

„nowe życie”. Wszak życie jest tylko jedno i jest najwyższą ziemską wartością. Odnawiający wszystko przymiotnik wkrótce rzeczywiście stracił swą semantyczną ostrość, stał się frazesem.

Zbigniew Herbert debiutował tomem wierszy „Struna światła” w 1956 roku. Rok później ukazał się „Hermes, pies i gwiazda”. Kazimierz Wyka, analizując „Strunę światła” wskazał na całą mapę literackich źródeł, które zasiły wyobraźnię Herberta. Dopatrzył się więc związków z młodym Miłoszem, Jastrunem, Wyspiańskim. Dostrzegł przy tym oryginalność w – jak napisał – stawianiu poety „po stronie konkretności przeciwko abstrakcji”. Dostrzegł także wartość w sposobie interpretowania kwestii polskich, patriotycznych. Pisał, że ta linia u Herberta „Jest w uczciwy poetycki sposób polska, kiedy dotyczy najbardziej podstawowych elementów patriotyzmu, przywiązania do historii narodu i ceny, jaką za to przywiązanie się płaci”. Miał tutaj rację krytyczny Wyka: to był początek najważniejszej linii w poezji Herberta. To się w czasie umocniło, rozwinęło i nabrało wagi. I nie pomylił się Wyka, kończąc swój szkic słowami: „A poezja to bieg o niewiadomej liczbie okrążeń. Stawiam na Herberta także.”

Trudno w tak skrótowym z konieczności tekście wskazać na wszystkie aspekty twórczej drogi poety. To była droga wielotraktowa, wiodąca od antycznych źródeł, idąca im naprzeciw lub podążająca z ich biegiem. Były w niej trakty wytyczane przez współczesność, przez historię, zwłaszcza tę wojenną i powojenną, była wreszcie wielka droga spotkań ze sztuką, owocująca wierszami i zbiorami esejów o malarstwie, rzeźbie i architekturze. I zawsze, na każdej z tych dróg Herbert pochylał się nad drobiazgami, w szczegółach widział odbite ślady wielkich zdarzeń, kreślił obraz historii studiując historię przedmiotów i rzeczy drobnych. W nich widział prawdziwą wielkość.

Droga Herberta-poety była wielotraktowa, wiodąca od antycznych źródeł, idąca im naprzeciw lub podążająca z ich biegiem. Były w niej trakty wytyczane przez współczesność, przez historię, wreszcie wielka droga spotkań ze sztuką

W 1974 roku ukazał się „Pan Cogito”. Tom, który był jakby zapisem, swoistym szkicem myśli, przylegających do podstawowych zasad etycznych

śródziemnomorskiego kręgu kulturowego. Zapisem niezwykle wyostrzonym, pozbawionym stylistycznych rozwinięć, skondensowanym, zwartym, gęstym, ale też ironicznym, mądrym. W tym zbiorze Herbert dotknął spraw najważniejszych dla człowieka, skomentował kodeks zachowań, a zarazem – tytułowa postać, która swe imię wzięła nieprzypadkowo od fundamentalnej kartezjańskiej zasady – jest to wykład działania rozumowej miary w świecie, miary porządkującej chaos i przypadkowość zdarzeń. Ironiczna i ascetyczna, zasadnicza i dobrodusza – bo niejednoznaczna – wykładnia zachowań Pana Cogito znajduje ostatecznie swoje zwieńczenie w słynnym „Przesłaniu”, zakończonym ostrą puentą: „Bądź wierny Idź”. To jest wielkie i wciąż żywe wyzwanie rzucone światu pustemu, wyrzekającemu się zasad honoru, wierności i suwerenności, światu bez jutra. „Przesłanie” Herbertowskie jest przesłaniem wolnego ducha, jest wykładnią heroizmu, ale i prostej historycznej przyzwoitości, która w swym najwyższym i najtragiczniejszym wymiarze dała Katyń, warszawskie barykady latem 1944 roku i Łączkę.

*„Przesłanie” Pana Cogito to
wielkie i wciąż żywe wyzwanie
rzucone światu pustemu,
wyrzekajacemu się zasad
honoru, wierności i
suwerenności, światu bez
jutra*

Wierność jako
wartość splata się z
pamięcią, czerpie z
niej, odwołuje się do
jej pokładów, bo
wierność jest
łącznikiem dobrej
przeszłości z
oczekiwaną
przyszłością. W ten

porządek etyczny wpisana jest także śmierć. Kiedy człowiek umiera, kończy się świat. Nie jakiś abstrakcyjny, odległy, niewymierny, ale bardzo konkretny, imienny, prawdziwy, empirycznie sprawdzalny. Świat wtedy po prostu znika, zapada się, oddala i zaciera jak twarz kogoś, kto cofa się w głąb pokoju oddalając się coraz bardziej i bardziej od lustrzanej tafli. Pojawia się niewyobrażalna pustka pozbawiona miłości, niema i bezforemna. Pojawia się też widmo. Ale zanim to puste „coś” ostatecznie zawładnie przestrzenią i zanim widmo zajmie miejsce rzeczy realnych, ręka poety staje w obronie niknących kształtów. Staje w obronie trwania, w obronie wartości duchowych. Ręka poety jest jego narzędziem obronnym:

„upada liść i kamień to co jest realne
lecz widma żyją długo uparcie na przekór
wschodom zachodom słońca obrotom ciał niebieskich
na pohańbioną ziemię padają łzy rzeczy”

Tak pisał Zbigniew Herbert w wierszu „Bajka o gwoździu”, przedostatnim wierszu z tomu „Elegia na odejście”. Tomu, który układał się z wierszy dojrzewających w latach osiemdziesiątych (pierwsze paryskie wydanie Elegii ukazało się w 1990 roku). W tym tomie Herbert przefiltrował konkret historyczny przez system bardzo osobistych odniesień. Ręka poety, trzymająca stary ojcowski przewodnik po Paryżu, kreśliła teraz wersy, które tworzą opowieść o bardzo osobistym przeżywaniu dziejów. „Jak rozumieli Liwiusza mój dziadek mój pradziadek/bo na pewno czytali go w klasycznym gimnazjum”. Obraca się wielkie koło lektur, zazębiając się z kołem historii:

„Dopiero mój ojciec i ja za nim
czytaliśmy Liwiusza przeciw Liwiuszowi
pilnie badając to co jest pod freskiem”

Inaczej widzą świat ci, którzy stoją na szczycie schodów, a inaczej ci, stojący u ich podstawy. Pozwalam sobie tutaj na pewną trawestację fragmentu wiersza „Ze szczytu schodów” datowanego na 1956 rok, który Zbigniew Herbert zamieścił w tomie „Raport z oblężonego miasta”. Zmienność perspektyw, wynikająca z odmienności punktów spojrzenia, stanowiąca przyczynę względności sądów zaciera horyzont wartości. Herbert znał wagę słów, wiedział, co to jest odpowiedzialność za słowo. Koło lektur nie było dla niego tylko i wyłącznie kopalnią cytatów i podręcznych ozdobników. Problem lektury jest mocno wpisany w jego wiersze jako problem odczytywania czyli rozumienia, jako problem procesu, działania poprzez czytanie i – szerzej – poprzez

mowę. Dlatego poezja musi zrastać się z codziennością, a poeta musi potykać się o konkrety. Słowo jest obecne i czynne u podstaw każdego kroku i gestu człowieka:

„w każdym pokoleniu
pojawiają się ci którzy
z uporem godnym lepszej sprawy
pragną wyrwać poezję
ze szponów
codziennosci
[...]

nie przeczuwają nawet
ile obietnic
uroków
niespodzianek
kryje w sobie język
którym gadają
wszyscy
hycel i Horacy”

Wspólnotę mowy trzeba szanować i odnawiać. Bez niej nie istniejemy. Sztuka mowy jest sztuką przetrwania. Prawdziwa sensowna mowa uwalnia od chaosu, uczy odmiany, trybów, stron i czasów. Bez tego, bez tej przepracowanej duchowo i etycznie gramatyki staniemy się prawdziwymi barbarzyńcami. Dlatego to do nas zwraca się Herbert w swoim „Przesłaniu”, wzywając do wierności i godności. Cytowany

wiersz o wspólnocie mowy nosi tytuł „Pan Cogito. Ars longa” i pochodzi z tomu „Epilog burzy”, który ukazał się na krótko przed śmiercią poety w 1998 roku.

Zbigniew Herbert zmarł w środku lata 1998 roku:

„Czeka nad brzegiem wielkiej i powolnej rzeki
na drugim Charon niebo świeci mętnie
(nie jest to zresztą wcale niebo) Charon
jest już zarzucił tylko sznur na gałąź
ona (ta dusza) wyjmuję obola
który niedługo kwaśniał pod językiem
siada na tyle pustej łodzi
wszystko bez słowa

żeby choć księżyc
albo wycie psa”.